

KAZIMIERZ TETMAJER

KSIĄDZ PIOTR

6)

— Testament jest tam, w biurku. Wszystko w porządku. Zebys mi tu zawsze, panie Dzięgielewski, kwiaty w doniczkach podlewał i ogrodu strzegł. Nic nie sprzedawać, nic nie wypędzać. Na wszystko fundusz jest. Na dziady i na baby, na sieroty i kaleki, na zwierzyniec, na Marcina i Zagraja. Wszystko ma być, jak było, póki nie wymrze, albo nie wyrośnie i w świat nie pójdzie. U mnie było jedno serce dla całego świata. Sarnię bez kozy takiej litości warte, co i dziecko małe. Bóg wszystko stworzył, wszystko miłuje i o wszystkim wie, panie Dzięgielewski!

— Co ksiądz kanonik rozkaże?

Bułanki panu Strzemieskiemu do Topolicy posłać. Broń Boże nie sprzedawać! On im łaskawszy chleb da, bo nim ostatni Zalański jeździł. Mój dziad panie Bronisławie Strzemieskiej, będąc nieco podchmielony, srebrny imbryczek z ręki wystrzelił, a potem jej do nóg padł i ona była moją babką. Stąd my krewniacy. Bułanki do Topolicy, siwki księdzu wikaremu na pamiątkę, bo on rad tą maścią jeździ i tych jednych się nie bał. Strzałę weźmie porucznik Kotwicz, to kawalerski koń. Może da Bóg jeszcze obaj nie tej łabki będą słuchali, co dzisiaj. Ho, ho!... Fajkę z Maryą Antoinettą i kalamiarz brązowy z Napoleonem także księdzu wikaremu. Z majątku mego będzie fundusz na zakład wychowawczy, a tobie, panie Dzięgielewski, przekazałem testamentem dwa buhajki, dziesięć tysięcy i jeszcze tam to i owo, a tu masz ciepłą ręką tę tabakierkę sztyldkretową z rubinem, zebys o starym księdzu pamiętał.

— Uu, uu, uu, księżę kanoniku dobrodzieju!...

— A nie klękaj przedemną waść, nie całuj mię po kolanach, te, wstyd, wszyscyśmy równi. A że ja mam więcej, to ci daję. Ta powinno być i koniec. A nie bucz łak, panie Dzięgielewski, bo ludzi pobudzisz... Narobią się dzień cały, potrzebują spać. Ja się też choć pół życia napracowałem, trza iść spać... A tak przecież dziwnie... Niby się wie, że się ma umrzeć, a tak dziwnie... Tu jutro już może człeka nie będzie, a tu żeby choć jeden listek z lipy opadł, żeby choć jedno źdźbło trawy zawiedło... A przecież wszystko z jednego Boga wyszło, Bogiem trwa... Marność marność jest człowiek i nic tylko marność... Rok, dwa, będą pamiętali, potem zapomną... Niech tam, byle Bóg miłosierny nie zapomni!... O resztę nie!

— Jak mi się też żywo przypomina, jakem tu pierwszego dnia przyjazdu po alei grabowej w ogrodzie chodził... Takie były te graby, jak i dzisiaj, rozłożyste

i szumiące. Lat pięćdziesiąt, pół wieku z górą... Nie chce mi się wierzyć, żeby ta pszenica tak samo prosto rosła, a przecież będzie... Tyle lat! Com ja tu chrzcil, com tu pochował... O, jak to jasno.

Przez liście winne, które ganek gęsto obrosły, poczęła wmykać się światłość miesięczna, cicha i srebrzysta, zawisała na liściach i patrzyła w dół. Szum wiatru, poruszając liśćmi, jakoby przymykał i odchyłał jej powieki. Ksiądz Piotr spoglądał jakiś czas w górę, potem głowa opadła mu ku piersi, a pan Dzięgielewski, któremu grube łzy spływały na wąsy, słyszał, jak staruszek szeptał:

— Niema co, niema co, trzeba iść. Teraz wieczór, jutro rano, ale trza... Jak to księżyc na mnie patrzy... Jakby mi jasność jaką zapowiadał niebieską. Ale kto wie... nigdy nie czego nie bał, com się to śmierci napatrzył w oczy, a przecież mi jakoś straszno... Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu, Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu... Mea culpa, mea culpa, mea maxima culpa... A i krew jest na mojej duszy...

Opuszczył jeszcze niżej głowę na piersi i milczał chwilę, ale nagle podniósł ją i silnym głosem przemówił:

— Mości Dzięgielewski, jak odśpiewają Requiescat in pace, każesz ze wszystkich mózdzierzy parafialnych huknąć... Pamiętam w brzezince leci na mnie oficer dragoni, jak go chłasnę! Ale to było w dobrej sprawie, panie Dzięgielewski... Poprawno ten knotek w lampce przed Matką Boską Bolesną... Tak...

Poczem ksiądz Piotr przymknął powieki i poczęł drzemać, ale organiście się zdawało, że głowa opada staruszkowi coraz niżej i że oddycha coraz słabiej i słabiej. Trwało to czas jakiś, aż się pan Dzięgielewski zaniepokoił i miał już wstać, aby przywołać pannę Capikównę, gdy zegar uderzył dwa razy, na wpół do dziesiątej i we drzwiach, wiodących z sieni do ganku ukazał się mały Ignas Znajda w koszulini i płóciennych majteczkach. Podeszedł on ku fotelowi księdza Piotra, i pociągawszy go lekko za sułannę ozwał się:

— Jegomość! Podźcie! Pani gospodyni kochał pedzieć i prosi, coby jegomość śh spać. Podźcie dojcie renke! Pomaluciku, boście starzy. Jegomość!

Ale kiedy ksiądz Piotr nie poruszył się, ani nie odpowiedział, wówczas Ignas podniósł oczy na pana Dzięgielewskiego i spytał:

— Panie organisto! cy jegomość pomarli?

(KONIEC)

Ilustrowany Przegląd Katolicki

Ojców mowy — Ojców wiary — Bronmy zgodni — Młody — Stary

Nr. 22

HERNE, 29 maja 1938

Rok VIII

Wiara

Wierzę, że żadna z prac ludzkiego ducha
Nie ginie marnie — że jednostek czyni
To są ogniwa społeczeństw łańcucha,
A cieni we wszystkie wplata się wawrzyny.

Wierzę, że boleść to majestat duszy
Co ją uświęca, przeistacza, wznosi, —
Że siła pragnień granit trudów kruszy,
Hart woli, tryumf w gwarze walk odnosi!

Wierzę w potęgę dobra, prawdy, cnoty, —
W kapłaństwo pieśni, co z odrętwień budzi.
I myślom tęskne, wyższe daje wzloty,
I kwiaty piękna sieje w sercach ludzi.

Wierzę, w królestwo miłości i wiary,
Co się z nadzieją jasných dni przybliża —
Wierzę, że wszystkich idei sztandary
Społem się kiedyś schylą do stó krzyża!

Zofia Kęczkowska.